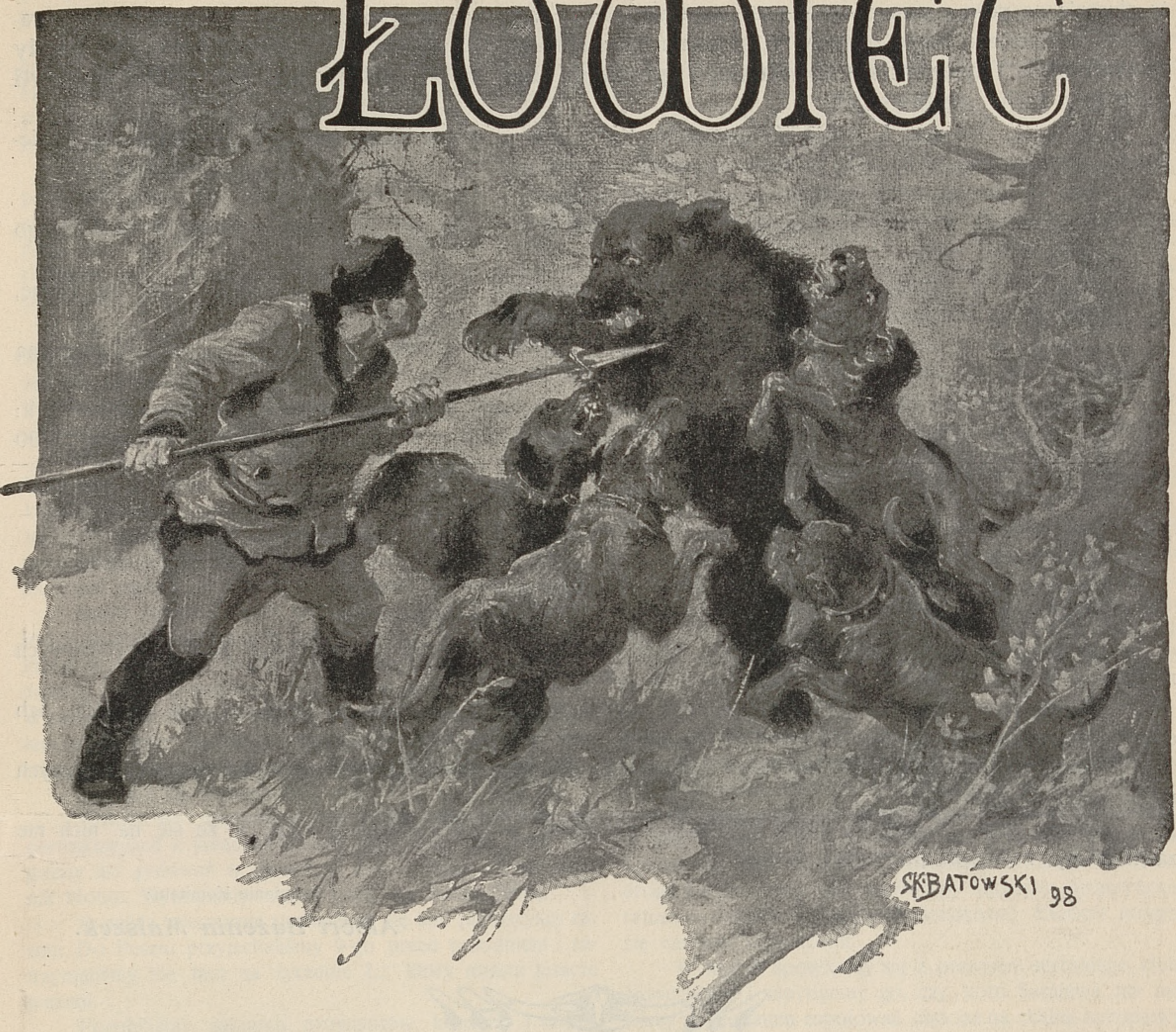
Nr. 15. Lwów, 1. sierpnia 1905. Rok XXVIII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Do wszystkich P. T. członków i delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego.

Jak to już z treści Nr. 14 „Łowca" wszystkim Panom wiadomo, zawiązał się podczas tegorocznego Walnego Zjazdu gal. Towarzystwa łowieckiego „Klub hodowli i tresury psów myśliwskich".

Zadaniem tego stowarzyszenia jest utworzenie racyonalnej hodowli rasowych psów myśliwskich w naszym kraju, czuwanie nad ich rozwojem i tresurą, słowem zaopatrywanie swoich członków w tanie a dobre i rasowe psy do polowania. Zresztą o celu i sposobach przyszłej działalności klubu mówi wyraźnie § 2 statutu w Nr. 12 „Łowca" z b. r. wydrukowanego.

Każdy myśliwy zrozumie chyba nieodzowną potrzebę w naszym kraju świeżo utworzonej instytucyi. Rozwodzić się nad jej pożytecznością byłoby zbytecznem. Każdy wie, jak mało jest u nas psów rasowych dobrze tresowanych, jaka jest trudność w nabyciu ich i jak często nawet za drogie pieniądze importuje się z zagranicy psy zupełnie bezużyteczne.

Otóż sądzimy, że sprawa rozwoju tej nowej instytucyi jest tak ściśle z naszem łowiectwem związaną, że słusznie na pewną pomoc ogółu naszych myśliwych a więc w pierwszym rzędzie członków gal. Towarzystwa łowieckiego liczyć możemy i słusznem będzie nasze twierdzenie, że w pierwszym rzędzie **każdy członek gal. Towarzystwa łowieckiego powinien być także członkiem gal. Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich.**

Komitet, któremu I. Walne Zgromadzenie Klubu rozwój dalszy nowej instytucyi poruczyło, na posiedzeniu odbytem dnia 8. lipca b. r. uchwalił przedewszystkiem:

1. Starać się pozyskać jak najwięcej członków dla Klubu.
2. Rozpatrzeć się w materyale krajowym, by się przekonać, o ile nań przy wprowadzeniu w życie swego zadania liczyć może.
3. Rozpatrzeć się w materyale w najsławniejszych psiarniach w Niemczech i ztamtąd wziąć na próbę, względnie na własność reproduktory rasy wyżłów nowoniemieckich.

Zadania ad p. 3. podjął się członek komitetu, p. Antoni Skrzyński, i już swą podróż informacyjną rozpoczął.

Wobec powyższych uchwał komitetu, zwracam się z gorącą prośbą do wszystkich Panów, aby raczyli:

1. Na członków założycieli lub zwyczajnych (§ 8 statutu) do Klubu się wpisać i wkładkę stosowną (100 lub 5 K) dołączonym przekazem w jak najkrótszym czasie przesłać.
2. W kole swych przyjaciół i znajomych jak najwięcej członków dla Klubu zjednać.
3. W jak najkrótszym czasie przesłać nam wyczerpującą informacyę:
   a) jakie psy rasowe Członek sam posiada?
   b) jakie psy rasowe w jego sąsiedztwie się znajdują?
   c) Wymienić nam znane Mu psy importowane i posiadające rodowody.

Odnieśliśmy się w powyższej sprawie do członków gal. Towarzystwa łowieckiego jako do wyborowych myśliwych w nadziei, że oni nam swej pomocy nie odmówią.

Dla Nich zresztą, dla Ich przyjemności i użytku począł się zawiązek tej instytucyi. W Ich ręce, Ich dobrej woli oddajemy egzystencyę i rozwój Klubu!

Pomyślny rozwój gal. Towarzystwa łowieckiego dał nam niezbity dowód, że prawdziwych myśliwych mamy dużo w kraju!

Ufamy więc, że losy tej nowej instytucyi myśliwskiej w dobre oddajemy ręce, a że się na nich nie zawiedziemy, najbliższa przyszłość pokaże!

W imieniu Komitetu:

Albert Bużenin Mniszek.

DR. JAN ZDUŃ.

Wycieczka do Hercegowiny.

Mój sąsiad i towarzysz w polowaniach, p. S. opowiadał już od 5 lat cuda myśliwskie o Bośni i Hercegowinie; co tam za wspaniały zwierzostan, ile grubego zwierza: niedźwiedzi, dzików, wilków kozic, sarn, a do tego skalne kuropatwy i wspaniałe polowania błotne w Hercegowinie.

Ptactwa wodnego taka ilość, że na 2 strzały kulą do chmary zrywających się kaczek, zabił 21, mówię „dwadzieścia jeden“ sztuk.

Naturalnie nie zdziwicie się, że temu zrazu nie chciałem wierzyć, ale na uroczyste zaklęcie i słowo uwierzyłem i wierzę.

Przez pierwsze dwa lata słuchałem tych opowiadań i powoli godziłem się z myślą, że i ja powinienbym właściwie pojechać do Bośnii i Hercegowiny, przez następujące dwa lata zacząłem już pytać mego sąsiada: a więc cóż, kiedy jedziemy do Bośnii?

Odkładał z roku na rok, toteż gdy sam mnie w tym roku spytał, czy jedziemy do Bośnii, odpowiedziałem, że już od trzech lat jestem gotów jechać. Teraz już mamy na prawdę jechać.

Chociaż inicyator wyprawy był kilkanaście lat na przemian w Bośnii i Hercegowinie, to jednak dla większej ostrożności starałem się dowiedzieć, jak tam jest i pytałem o to każdego, kto tylko ze znajomych był obeznany z tamtejszymi stosunkami.

Wyrobiłem sobie z tego wszystkiego zdanie, że z grubszego zwierza jedynie kozica jest pewna i liczna, a jest możliwość zabicia niedźwiedzia, wilka i dzika, ale to przeważnie dalej od miast i centr komunikacyjnych.

Ptactwo wodne i błotne poczyna się od połowy listopada, jak już na Węgrzech zaczną wody marznąć i trwa przez grudzień i styczeń.

Chociaż to trochę osłabiło mój zapał do tej wycieczki, to jednak „słowo się rzekło, kobyła u płotu“ a więc jadę.

Namawiam do tej wycieczki p. Ł. p. S. p. G. tak, że mamy razem we czterech wyruszyć.

S. jako „Landeskundiger" ma się zająć urządzeniem całego polowania w Bośnii i Hercegowinie, oraz wyrobieniem kart łowieckich, mnie zaś przypadało w udziale wystaranie się o pozwolenie polowania w terenach zastrzeżonych i o bilety okrężne.

Dla wyjaśnienia dodaję, że w Bośnii i Hercegowinie polowanie jest wolne. Każdy, kto dostanie od rządu pozwolenie na polowanie z 2-ma psami, ma prawo polować, gdzie mu się tylko podoba, z wyjątkiem 6 nie wielkich okręgów, które są zarezerwowane dla gości a na których pozwolenia polowania udziela ministerstwo.

Pozwolenie polowania, które z 2-ma psami kosztuje 30 koron, uprawnia tylko do polowania na podchodne, jak się tu nazywa „na privlak" z psem legawym lub z gończakami a do polowania z nagonką („hajką") trzeba osobnego pozwolenia władzy.

Pozwolenie takie dostaje się bez żadnych trudności bo trzeba przyznać, że naczelnik okręgu, przynajmniej ten, którego miałem sposobność poznać w Mostarze, jest „gentelman" w całem tego słowa znaczeniu. W ogóle mimo ogromnego rygoru, jaki tu w stosunkach służbowych i urzędniczych panuje, jest wielka uprzejmość dla przyjezdnych.

Mamy tu dość dużo rodaków, których jednak krajowcy zaliczają wszystkich do gatunku „Svaba" (szwab), który tu naturalnie jeszcze nie szczególnie mile jest widziany, chociaż władza ma już należyte poszanowanie. Wybaczcie, że wpadam odrazu „in medias res", ale zacząłem pisać jako samotny, opuszczony podróżnik w Mostarze i dlatego nie jestem bardzo ścisły.

Wracam do wyjazdu.

Termin do wyjazdu został przez kierownika S. po pertraktacyach z jadącymi naznaczony na $^{8}{}_{10}$, jako dogodny do polowań w górach, a dobry także na polowania błotne. Wybraliśmy nową kolej na Suchą Horę.

8. paźdz. wieczorem zjechaliśmy się tam już wszyscy razem. Do Pesztu przyjechaliśmy 9-go przed południem i zatrzymaliśmy się tam na życzenie Ł., który miasta jeszcze nieznał.

Porobiliśmy zakupna prowiantów, konserw i dokupili patronów śrótowych N. 8. ponieważ wódz nasz wyśmiewał się, że mamy tylko po 100, a to na jeden dzień błotnego polowania nie wystarczy. Dokupiliśmy tedy po 200 i 10-go po południu wybraliśmy się w dalszą drogę na Bosna Brod do Sarajewa.

Po drodze widzieliśmy już na Węgrzech, na bagnach, pusztach, chmary kaczek i gęsi, co mi się nie bardzo podobało, bo znaczyło to, że ptactwo wodne nie dociągło jeszcze wobec ciepła dalej na południe. Oryginalny jest przejazd przez Dunaj, bo tak jak w Ruszczuku, wjeżdża pociąg na prom i znowu z promu napowrót na ląd. Szkoda, że przeprawialiśmy się przez Dunaj w nocy, bo to musi być ładnie, ale noc, a do tego deszcz, który nas prześladował od chwili wyjazdu, psuły widok. W nocy przyjeżdżamy do Bosna Brod, gdzie już rozpoczynają się koleje wąskotorowe.

W ogóle w całej Bośnii i Hercegowinie nie ma innych a miejscami jest wąskotorowa, zębata, bo inaczej nie utrzymałaby się na tak silnych spadkach. Część naszych bagaży musieliśmy nadać, aby się w tych wagonach pomieścić. Noc ciemna; trzeba spać, więc ulokowaliśmy się w 2 przedziałach i spimy do 5-tej rano.

Ze świtem zaczynam wyglądać. Z razu okolica bardzo podobna do sanockiego, lub stryjskiego; lasy bukowe, góry średnio wysokie, tak, że zdaje mi się, że jadę na jelenie. Wieże meczetów i tureckie domy przypominają mi jednak, że to już wschód. Z okien wagonu coraz ładniejsze widoki.

Zaczynają się już przesuwać krajowcy w malowniczych ubraniach i turczynkę widzę na koniu, która odwraca konia tyłem do pociągu i czeka aż tenże przejedzie, by giaur nie widział jej oblicza.

O godz. 9-tej rano stajemy w Serajewie, gdzie już nas oczekuje radca dworu, L., nasz rodak, który nadzwyczaj wiele uprzejmości okazał i co mógł, to dla nas zrobił.

Sam nie myśliwy, starał się nas zapoznać z myśliwymi, oprowadzał wszędzie i robił wszelkie możliwe ułatwienia.

Niech mi wolno będzie, na tem miejscu złożyć Mu najserdeczniejsze podziękowanie za prawdziwie polską gościnność. Poszedłem do rządu krajowego prosić o możliwe ułatwienia i o oznaczenie, ile nam będzie wolno odstrzelić, bo zasadnicze pozwolenie polowania dostaliśmy a bliższe szczegóły miał rząd krajowy oznaczyć.

Źleśmy trafili, bo naczelnicy rządu byli na urlopach a zastępcy strasznie byli skąpi i ku mojemu strasznemu oburzeniu dowiaduję się, że wolno nam na jednego odstrzelić 2 capy i jednego rogacza a nadto odstrzału tego nie wolno przenieść między sobą. Podczas załatwiania tych formalności przezemnie i przez S. poszli Ł. i S. do parówki.

Wracamy i zastaję Ł. z zawiniętą nogą, którą zwichnął, pośliznąwszy się w parówce.

To dopiero paskudny pech, wybrać się na polowanie i niedotknąwszy strzelby, zwichnąć nogę w łaźni.

W obec tego zużywamy nasze lekarskie wiadomości, robimy kwaśne i lodowe okłady na przemian a noga jak bolała tak boli. Oglądam tymczasem Sarajewo. Swoją drogą bardzo lube miasteczko ze ślicznym bizantyńskim ratuszem i klubem, który i w środkowej Europie mógłby się nazywać eleganckim.

W klubie spotykamy się z prezesem serbskiego klubu łowieckiego i zapytujemy go, czy koło Sarajewa nie możnaby z rezultatem zapolować chociaż na skalne kuropatwy.

Daje nam całkiem słuszną i trafną odpowiedź, że tak w Bośnii, jak i w Hercegowinie nie można nigdy, z wyjątkiem terenów wyłączonych, polować z rezultatem koło większych miast.

Tu każdy „szwaba" myśliwy, a im ich gdzie więcej, tam polowanie gorsze.

Przyjęliśmy tę radę z podziękowaniem i postanowiliśmy jeszcze przed Mostarem nie wyciągać strzelb a na przyszłość trzymać się zdala od większych miast.

Po południu podają nam S. i G. do wiadomości, że rano jadą do Mostaru, ażeby wszystko do polowania przygotować.

Chociaż nie lubię, jak towarzystwo się rozłącza, to jednak ze względu na zamierzone przygotowania, nie oponowałem.

Ja zostałem jeszcze z L. w Sarajewie 24 godzin, by pozałatwiać formalności i wytargować większy odstrzał.

Udało mi się to jednak tylko częściowo, bo podniosłem pozwolenie z 2 capów i rogacza dla siebie i Ł. na 4 capy i 2 rogacze.

Z dwóch zaś terenów zastrzeżonych, które nam stały do dyspozycyi, to jest Mostar N. 2 i Konjica N, 3, mieliśmy sobie teren w Mostarze wybrać.

Po załatwieniu tych formalności przejechaliśmy się z kulawym L. po mieście, żeby biedakowi, choćby z pozoru pokazać osobliwości Sarajewa.

O 9-tej rano przyjeżdżamy na dworzec w Sarajewie i odjeżdżamy we dwóch do Mostaru.



ŁOŻYSKO NARENTY W GRABOWICY (typ dolnych skał Karstu).

Już na dworcu widzę, że lokomotywa ma koła zębate i cieszę się na śliczną okolicę i góry, które tak lubię, gdziekolwiekbądź one są.

Droga z Sarajewa do Mostaru śliczna; spadki, tunele i ładne widoki.

Dolina Narenty dzika ale śliczna; po obu stronach nagie skały wapienne, licho zadrzewione. Doliną wije się wśród wapiennych skał Narenta, która bądź się rozszerza bądź tak jest ścieśniona, że ją n. p. przed samym Mostarem przeskoczyć można, chociaż jest to większa rzeka, niż Dunajec w Pieninach. Na drodze z drugiej strony Narenty widać transporty.

Wobec braku dróg, które są tylko między głównemi miejscowościami, wszystko noszą konie a właściwie koniki i czasem jest cały rząd takich koników, jeden za drugim objuczonych najrozmaitszym towarem.

Idą spokojne jeden za drugim, ale wolno tak, że ludzie przeważnie koło nich idą.

W Mostarze na dworcu, gdzie przyjechaliśmy po południu, oczekiwał nas łaskawie p. M. znajomy z dawnych lat bośniackich S. i powiedział, że S. i G. poszli mimo deszczu na skalne kuropatwy a jutro polujemy na kozice w terenie zastrzeżonym w Grabowicy.

Bardzo mi się to podobało, bo już od naszego wyjazdu tyle dni upłynęło, niby to pojechaliśmy na polowanie a dopiero w Grabowicy mamy łowy rozpocząć. Wieczorem mieliśmy się wszyscy zgromadzić w „Hotel Narenta“ gdzie zajechaliśmy.

Tam też rzeczywiście zjawiają się wieczorem S. i G. z 4-ma kuropatwami skalnemi, które odtąd po bośniacku „jarebice“ będę nazywał w przeciwstawieniu do zwykłych kuropatw, które też nazywają się jarebice. Oprócz tego mieli szaraczka i kilka gołębi.

Miny nie bardzo gęste, bo ze swych bośniackich czasów pamiętali większy stan jarebic.

Poznajemy jeszcze bardzo miłego profesora P. ornitologa, który jest łaskaw na biednego Ł. i wspólnie z M. odwiedzają go i opowiadają o bośniackich łowach.

Nazajutrz, jak postanowione, mamy pojechać rano koleją do Grabowicy, na teren zastrzeżony a stamtąd dalej piechotą w góry, na kozy. Obiecują, że kawałkami można konno jechać, Ł. jednak zostaje w hotelu a my wybieramy się we trzech w towarzystwie rządowego starszego leśniczego i jego adjutanta, rodaka naszego, Bolechowszczyka, p. B. Na stacyjce Grabowica oczekują nas dwaj leśni rządowi, rewirowy Luka Palavestra i drugi sąsiedni, Franc Sahin, obaj Serbowie, zresztą 12 Turków pogonki i 4 konie z wołami do noszenia tak zwanemi „tamarami“. Próbuję włazić na takiego konika, ale siodło za szerokie, gniecie, zatem idę piechotą i czekam wciąż na konie.

Jedziemy $1^1/_4$ godziny wąską ścieżyną wciąż do góry i dochodzimy do leśniówki, postawionej już po europejsku, murowanej, krytej dachówką, z osobną kuchenką i stajenką.

Zdejmujemy z koni juki, wydobywamy sztućce, bo mamy wziąć jedno pędzenie „hajkę“ blisko leśniówki, która ma być gorszą a jedynie dziś możliwa ze względu na spóźnioną porę. Idziemy w górę łożyskiem potoka, zasypanego szutrem wapiennym i całkiem suchego a potem zakręcamy w las bukowy i rozstawiamy się potokiem skali-



PIERWSZY DZIEŃ POLOWANIA. POPAS PRZY LEŚNIÓWCE W GRABOWICY.

stym. Panowie leśnicy i leśni stają na stanowiskach, nie wolno im jednak strzelać, tylko mają na nas zwierzynę odganiać.

Pogońcy „hajkacze" ruszają, i po chwili słychać strzały. Ja wydrapałem się pod same skały w górę, ale nic nie widzę przed sobą, widzę tylko jak kozice dołem przebiegają i słyszę strzały mych towarzyszy. Po miocie schodzimy się na dole i dowiaduję się, że każdy ma po capie a oprócz tego jeden poszedł postrzelony.

Schodzimy na dół do leśniówki. Komenda starszego leśniczego ostra; musimy wszyscy tak iść, jak on. Wieczór kolacya w leśniówce, pogawędka i omawianie następnego miotu, który jak już sama nazwa wskazuje, ma być doskonały, bo nazywa się „kozje brdo" (brdo = góra). S.i G. jak posłyszeli, że do miotu trzeba iść 6 godzin, zaczęli się namyślać czy iść, czy też wrócić do Mostaru i pojechać na „Hutovo blato" (błoto). Rano pogoda nie pewna, mgły przechodzą, więc w obec tego obaj towarzysze decydują, że jadą, ja jednak przeprowadzam z leśnymi wielką konferencyę, czybym nie mógł zostać i czy jest nadzieja, że co zrobimy i namawiam leśniczego „B" żeby został ze mną a pójdziemy na podchód, po niemiecku „Pürsch" a po bośniacku bardzo trafnie, bo „privlak".

Porozumiewam się z leśnymi i przewodnikiem przez tłómacza, bo mimo podobieństwa języków i tak trudno mi się dogadać a na zapytanie czyby oni sami, chociaż nie mogą za tę przeklętą mgłę (mgła-magla), odpowiadać, nie poszli, odpowiadają obaj, że poszliby stanowczo. Czas do odjazdu się zbliża, mój towarzysz po śniadaniu, zarządzonem znakomicie przez S., odjeżdża ze starszym leśniczym.

Pakujemy torby, bierzemy jednego konia do niesienia pakunków i ruszamy w południe w górę a ze względu na zamierzony „privlak" biorę oprócz leśnego i przewodnika, 3 ludzi a jednego z koniem.

Obiecują mi, że na wieczór będę w jaskini, którą leśny szumnie „nasz hotel Narenta" nazywa i tam mamy nocować. Wznosimy się lasem bukowym i to miejscami bardzo ładnym, przechodzimy koło czysto tureckiej wioski między kukurydzą a tytoniem, które na małych pólkach przy dolinie uprawiają.

Ze mną idzie Turek Omar Sehic, który doskonale chodzi i trzyma się wciąż ze mną.

Próbujemy mówić, słabo idzie, ale po trochu zaczynamy się rozumieć.

Pierwsze naturalnie, czego się nauczyłem, to kląć po bośniacku, nie powiem jak, bo jestem skromny, ale domyślicie się łatwo, jak powiem, że całkiem tak, jak po rusku.

Po drodze wzięliśmy mały miot, ale bez rezultatu. O zmroku dochodzimy do groty wapiennej, do której idziemy wciąż ścieżką wśród lasu. Konia zostawiamy na polance, otoczonej skałami a dwa na krzyż zwalone buki są zaporą, żeby koń do domu nie wrócił a potem jego, a właściwie jej właściciel, bo to była „kobila", Osman starszy, wysoki Turek, nie musiał torb nosić. Rozgospodarowujemy się w grocie i naturalnie robimy herbatę.

Wyciągam mój worek do spania, który, wstydzę się przyznać, sprowadziłem z Kolonii, jest pyszny i spię sobie z daleka od ognia i doskonale mi.

Każdy, kto więcej poluje i sypia w takich hotelach, jak „Narenta", albo też na polu, powinien mieć taki worek.

O piątej rano obiecuje nam leśny, że za chwilę w swym hotelu firanki usunie, ale jakoś licho otwiera, bo mgły wciąż przechodzą.

Nie zrażeni tem idziemy w górę wciąż lasem bukowym z domieszką innych drzew, bo wyżej już znajdują się cisy i sosny. Potem pniemy się skalistym potokiem w górę. Niby to miałem iść na podchód, ale przekonywam się, że to nie możliwe, bo granica lasu liściowego w Grabowicy leży na 70 m. nad poziomem. Tak więc kozica ma dość miejsca i paszy w lesie i tylko wygnać ją można w góry bezleśne, których jednak nie jest dużo. Karst jest bezleśny ale w dolnych częściach, bo tam lasy wyrąbano a ciągle pasące się kozy ścinają wszystko, co ugryźć mogą.

Drzewa liściaste, graby i buki są małe, przy ziemi rozłożone, a tylko koląca draca (Judendorn-Paliurus aculcatus) broni się częściowo przed wszystko gryzącą kozą, która jest w stanie nawet crategusy zgryźć. Przekonawszy się tedy, że podchód na kozy, tak, jak ja go rozumiem, jest niemożliwy, musiałem się zdecydować mimo małej ilości ludzi na pogonkę.



REZULTAT I-go DNIA W GRABOWICY. (Skała przedstawiona na osobnej kliszy).

Postanowiliśmy brać jako główny miot „kozje brdo".

Drapię się 4 godziny od jaskini w górę na stanowisko, po wapieniach. Nie takie to paskudne wapienie jak u nas, bo klimat łagodniejszy i nie są tak popękane od mrozu.

Sama formacya skał przypomina najbardziej Kościeliska lub Kraków, tylko w kolosalnych rozmiarach.

Wapień jest gładki, ale mimo to trzewiki z silną gumową podeszwą trzymają się doskonale i wytrzymały po tygodniowem polowaniu na jelenie, jeszcze całą wycieczkę w Hercegowinie. Są one lepsze niż bośniackie obuwie (opanki) z cienkiej skóry, które na skałach mniej zgrabni zdejmują i idą boso.

Zachodzę z moim przewodnikiem na stanowisko.

Droga nie bardzo była przyjemna, bo po skale, ale imponuję turkowi i trzymam się wciąż z nim. Staję wreszcie

na stanowisku nad straszną przepaścią, ale mam przed sobą ogromną sosnę, tak, że mam nawet uczucie pewnej swobody w ruchach. Z daleka słyszę odgłosy tych kilku hajkaczy, ale jeszcze nic nie widzę, aż wreszcie przesuwa się na 300 kroków jedna kozica podemną.

Z uwagi, że jest bardzo nisko, nastawiam na 100 i dołuję; chowa się za skały, tak, że nie mogę z mego „schoenauera“ błędu poprawić. Mgła, która była na dole, wznosi się coraz wyżej, tak, że zakrywa mi widok i nagle siedzę w gęstej mgle. Słyszę jak kozice i to partyami przechodzą koło mnie, bo to zrzucanie kamieni jest bardzo typowe, ale bezwarunkowo nic nie widzę.

Strasznie przykre było to uczucie mej bezsilności, oglądam się, wpatruję w mgłę, chcę choć jakiś słaby cień dojrzeć, a tu jakby mi kto oczy zawiązał, nic a nic nie widzę.

Pogonka doszła, mgła wzniosła się wyżej i znowu doskonały widok.

Naturalnie że strasznie zły schodzę na dół, bierzemy jeszcze jeden miot, ale znowu się nie udało, bo jeden z turków, który bał się gorszemi przejściami iść, wyszedł na nas przed innymi i co tamci nagonili, płoszył.

Wróciliśmy tedy na noc do naszej groty a rano trzeba było zejść na dół, bo się nasze zapasy kończyły, a na mgłę w górach, to nawet św. Hubert nie poradzi.

Aby zły nastrój poprawić śpiewali ludzie po drodze swe pieśni.

Jeden marsz jest bardzo nawet ładny a poczyna się od słów „Kolo malo naokolo“ i wciąż to się powtarza jako refren.

Druga pieśń jest również ładna „Uvenovo listje borovo“ co znaczy; zwiędły liście leśne. Przyśliśmy do leśniówki na dole i zapowiedziałem, że wrócę, a telegraficznie lub telefonicznie dam znać kiedy. Przewodnik mój przestrzegł mię, abym uważał w Mostarze na „borę“ (wiatr północny) bo jak jest bora, to nie ma mgły.

Rzeczywiście, gdy przyjechałem do Mostaru, zrobiło się ładnie i był słaby bora. Moi towarzysze, nawet Ł. mimo nadkręconej nogi, byli tymczasem na Hutovim błocie a Ł. zabił 11 łysek i był królem.

Wobec tego oświadczyłem, że wcale nie jestem ciekaw błotnego polowania i nie chcę takiego paskudztwa strzelać a gotów jestem jedynie na jarebice iść a na błota przyjechać kiedy indziej, w zimie, jak już ptactwo nadciągnie.

Zgodziłem się na plan S., aby jechać na „široki breg“ (szeroką górę) na jarebice a telegraficznie zapowiedziałem na 19/X. polowanie na kozice w Grabowicy. Wyjechaliśmy we trzech rano o 6-tej powozem z Mostaru.

Po drodze wzięliśmy poleconego przewodnika, Stojana.

Dojeżdżamy na miejsce, idziemy najpierw błotnistą rzeczką, gdzie było trochę krzyków, a potem schodzimy w skalisty teren na jarebice.

Uprzedzony przez S., że tam ciernie paskudnie kłują, wziąłem kamasze.

Idziemy wciąż przez bloki kamienne, obrosłe cierniami, które kłują po rękach, plecach, nogach, a tak się o nie człowiek zaczepia, że iść nie można.

(C. d. n.)

Nowości w dziedzinie broni.

(P. ALBERTA MNISZKA).

(Redukowane Manlichery. — Zwrot ku większym kalibrom. — 9 m/m Manlicher-Schönauer i 11 m/m Mauser. — 11 m/m podwójne sztućce do kul płaszczowych. — Lunety i binokle myśliwskie. — Nowy sposób celowania).

Kiedy w styczniu r. z. w artykule p. t. „Broń małokalibrowa i proch bezdymny“ poruszyłem sprawę tak zw. redukowanych Manlicherów i krytyka moja o nich przeprowadzona wprawdzie na tle nie fachowem ale li tylko empirycznem wyraziła się ujemnie co do ich wartości w spotkaniu z grubym zwierzem, posypały się na mnie razy, żem przycichł oszołomiony, nie śmiąc drugi raz odzywać się w tej sprawie i czekając spokojnie na to, co przyszłość wykaże. Nawet wszystkim nam dobrze znany, i przez nas wysoce ceniony, rusznikarz Tabaczkowski robił mi gorżkie wymówki. Od tych to wypadków mija półtora roku. Przez czas ten mając ciągle styczność z wieloma znakomitszymi myśliwymi w kraju pytałem, słuchałem, patrzałem, to też nasłuchałem i napatrzałem się do syta. Słyszałem naprzykład od jednego znanego myśliwego, o pewnym ogromnym odyńcu zabitym przez niego zeszłej jesieni w górach, który tyle kul „redukowanych“ otrzymał, że wyglądał w końcu jak by był pięknej ażurowej roboty, mimo to zmykał doskonale w tym na pół przeźroczystym stanie dość długo; byłem na polowaniu dziczem tej zimy, na którem żaden dzik strzelany z reduk. Manlichera, rozkładu nie powiększył, choć każdy farbował, i t. p. przykładów mógłbym cytować dużo. Ale nie o to mi chodzi teraz bym na mocy przykładów krytykował tę w mowie będącą broń. Na argument, znajdzie się zawsze kontrargument, na przykład przeciwprzykład! Ja sam widziałem jak starosta Pietruski zrobił misterną bardzo trypletę kulami z drylinga do sporych dzików, z których dwa zabił na miejscu z reduk. Manlichera. Nie na mocy przykładów chcę twierdzić, że broń redukowana w spotkaniu z grubym zwierzem nie zupełnie odpowiada celowi, lecz na mocy faktów, które mówią same za siebie. Oto faktem jest, że klub zwolenników redukowanej broni tak zmalał, że liczy w swem łonie kilku jeszcze tylko niedobitków, faktem jest że właściciele tych sztućców dają je jeden po drugim przez stosowne powiększenie komory przerabiać na pełne Mausery. Rusznikarz Tabaczkowski oświadczył mi sam przed tygodniem że przerabia w ten sposób tę broń jednemu po drugim, przyczem przyznał racyę memu zapatrywaniu na wartość broni redukowanej, którą nazwał sam b r o n i ą p r z e s z ł o ś c i. Zresztą zarzucanie broni redukowanej wydaje mi się i z innego punktu widzenia zupełnie logicznem. Stworzyła ją tylko konieczność, chciano strzelać z sztućców lub drylingów małokalibrowych i prochem bezdymnym przed naganką do dzików, z pełnej broni było niebezpiecznie, zdarzały się wypadki rozerwania broni i połączonego z nimi kalectwa, zredukowano więc z konieczności nabój prochu i formę butelkową łuski i stworzono w ten sposób coś pośredniego, nie mającego zalet ani wielko ani mało-kalibrowej broni.

Dziś sprawy te inaczej stoją, straszną siłę wybuchową nowożytnej broni kulowej dokładnie zmierzono i opanowano tak dalece, że może mieć zupełnie pewne zastosowanie w broni łamanej i na niebezpieczeństwo żadne strzelającego nie naraża. Ustała więc konieczność używania redukowanej broni, kiedy można używać pełnej.

Za granicami naszego kraju, los tych pierwszych dawno już lakiem zapomnienia przypieczętowany i wzmianki się nawet o nich nie słyszy. Z głosami zwolenników reduk. broni nikt się już dzisiaj liczyć nie będzie.

Ciekawą jest rzeczą, że u myśliwych niemieckich, a, co za tem idzie i w rusznikarstwie tamtejszem, daje się spostrzegać zwrot ku większym kalibrom. Pierwszą ofiarą wspomnianej tendencyi padł naturalnie najdrobniejszy z małokalibrowców a więc 6 m/m Mannlicher-Schönauer. Jako taki wychodzi z użycia, a rodzi się na nowo jako 9 m/m-trowy.

Widziałem te nowe sztućce we Lwowie w handlu broni p. Dzikowskiego. W zewnętrznej szacie niczem się od starych Schönauerów nie różnią.

Firmy J. Nowotny w Pradze i J. Peterlonga w Insbruku wyrabiać zaczęli repetierowe 11 m/m Mausery z nabojem o 4 gramach bezdymnego prochu i o 23 gm. ważącej płaszczykowej kuli. Broń waży $3^1/_2$ kg. O broni tej jak i o jej działaniu stacya doświadczalna w Neumanswalde wyraża się pochwalnie i stawia ją wyżej od wszystkich dotąd w użyciu będących. Co do precyzyi strzału to naturalnie, że ta przy większym kalibrze musi być mniejszą, zachodzi jednak tu tak mała różnica, że w myśliwstwie najmniejszej roli odegrać nie może, a efekt kuli ma być bez porównania w tej nowej broni wydatniejszym.

Muszę tu wspomnieć także o coraz więcej w powszechne użycie wchodzących podwójnych bezkurkowych 11 m/m sztućcach do kul płaszczykowych i bezdymnego prochu, systemu Anson & Deeley. Widziałem kilka dzików zabitych tą bronią tej zimy i przyznać muszę, że efekt jej był niesłychany. Widziałem sztućce te roboty Heyma w Suhl, roboty Springera w Wiedniu a przed kilku dniami próbowałem dla jednego z moich znajomych na lwowskiej strzelnicy taki sztuciec roboty p. Tabaczkowskiego. Muszę przyznać że między tamtą z sławnych firm światowych a tą z pracowni naszego rusznikarza pochodzącą bronią, ani w precyzyi strzału ani w technicznem i zewnętrznem wykonaniu nie znalazłem najmniejszej różnicy, a szczegół ten chlubnie świadczy o pracowni p. Tabaczkowskiego, jak i o naszym przemyśle krajowym reprezentowanym w dziedzinie rusznikarstwa, i coraz to jaśniej widzimy, że bez firm niemieckich możemy się obyć na tem polu.

Kul do tych sztućców używać zdaniem mojem należy dwojakich, a więc pełnych ściętych o półpłaszczu niklowym, albo expansywnych o całym płaszczu niklowym. Kule expansywne opatrzone półpłaszczem są złe, zanadto czułe i na najmniejszej przeszkodzie a nawet bez niej łatwo expandować mogą, czemu zatykanie ekspansy kołkiem drewnianym przeszkodzić nie potrafi. Nadmieniam także że z tych sztućców strzelać można również kulami ołowianemi w papierowych płaszczach z użyciem dymnego prochu, co przy strzelaniu do którego mniej wagi się przywiązuje jest gwoli zaszanowania broni rzeczą wcale dogodną.

Na żadnem może polu, nie zrobiła wiedza ludzka tyle postępów w ostatnich czasach, co w dziedzinie wynalazków optycznych. Pierwszy Zeiss optyk w Jenie przed 10 laty wynalazł lunetę przybliżającą za pomocą pryzmatu a nie zwykłych soczewek. Zaczęli go naśladować i ulepszać jego wynalazek inni optycy i doszło do tego, że dziś w całej plejadzie najrozmaiciej się nazywających szkieł powiększających rozeznać się prawie nie można. Z najznakomitszych jednak fabrykantów lunet i binokli myśliwskich prócz Zeissa wymienić wypada firmy: Goerz-Frieder (Pernox) z Berlina, Hensoldt-Solar (Birschglas, Nimrod i Diaxyt) z Wetzlaru i Schütz & Comp. która to ostatnia wynalazła świeżo binokle „Perplex“, pod każdym względem według opinii fachowców przewyższające o wiele wszystkie inne szkła dotąd wynalezione. Odznaczają się one wielkiem polem widzenia, czystością światła i umożliwiają do najpóźniejszego zmroku widzieć dokładnie obserwowany przedmiot. Temi samemi własnościami odznaczają się nowe lunety sztućcowe Hensoldta. Na tem polu doprowadzono wprost do artyzmu!

Chciałbym jeszcze na zakończenie mojej niniejszej pracy pomówić o „nowym“ sposobie celowania. Nowym, między nami mówiąc, jest on chyba dla tych, co go dotąd nie znali, ja, co do mojej osoby, stwierdzić muszę, że znam go i używam od lat kilku. Nowym chyba nazwać go można dlatego, że nad rozpowszechnieniem go poważnie zaczynają myśleć, a angielskie ministeryum wojny wprowadza go do nauki strzelania w armii. Chodzi tu o rzecz prostą: o celowanie z otwartemi oczami, a nie wyłącznie okiem prawem (przy strzelaniu z prawej strony) gdy oko lewe bywa zamknięte.

Jako powód do rozpowszechnienia tego sposobu strzelania podają ten, że cel, szczególnie dalszy, lub przy powietrzu mglistem widzi się daleko lepiej dwoma oczami jak jednem, przez co i strzał celniejszym być musi. Że to twierdzenie jest słusznem, to nie ulega kwestyi i logika sama mówi że na to jest dwoje oczu, by jedno drugiemu pomagało i by człowiek lepiej dwoma widział, jak jednem.

By usunąć trudności jakich nowicyusze tego sposobu celowania doznają, zaprowadzono w armii angielskiej przy nauce strzelania blaszkę zwaną „shooting director“ uniemożliwiającą lewemu oku widzenie muszki, a zarazem zakrywającą przed okiem prawem cel, tak, że zapomocą tego przyrządu strzelający jest fizycznie zmuszonym celować z oboma otwartemi oczami.

Taki przyrząd można sobie skonstruować łatwo w ten sposób: Bierze się kartę wizytową lub wistową i wycina się w niej otwór taki, by lufa karabinu mogła weń wejść. W górze otworu trzeba jeszcze wyciąć miejsce na muszkę, tak, żeby przy włożeniu tej karty na karabin muszka właziła w małe ciasne okienko. Przyrząd ten należy umieścić tak, by muszka w tem okienku siedziała a więc na samym końcu lufy. Teraz należy celować do jakiegoś dalekiego lecz dużego i wyraźnego przedmiotu n. p. do domu znajdującego się w odległości 500 kroków. Otóż zobaczymy, że gdy zamkniemy lewe oko, celu nie widzimy, gdyż karton go nam zasłania, a by go zobaczyć musimy z konieczności lewe oko otworzyć. Otóż trzeba się starać by prawe oko patrzało przez wizier na muszkę (jak zwykle przy celowaniu) a lewe oko widziało dokładnie przedmiot do którego się celuje. Z początku będzie się wydawało takie celowanie niemożliwem, ale po kilkurazowej próbie oczy się do tej pracy bez najmniejszego natężenia przyzwyczają i karton zdawać się będzie przeźroczystym a cel wyraźnym i jasnym.

Jeszcze jest inny sposób nauczenia się takiego celowania: Ustawić tarczę w odległości 100 kroków; między tą tarczą a sobą ustawić blisko malutką tarczę (wielkości ćwiartki papieru) pomocniczą i ustawić się w ten sposób, by zamknąwszy lewe oko, tarczy dalszej nie można było widzieć, (czyli by tarcza pomocnicza zakrywała przed

okiem prawem tarczę dalszą) przeciwnie by lewem okiem widzieć dokładnie tarczę dalszą. Jeżeli teraz wycelujemy sztuciec i zamkniemy lewe oko okaże się strzał do właściwego celu (do tarczy dalszej) niemożliwym z tej prostej przyczyny bo go nie zobaczymy. Jeżeli otworzymy następnie lewe oko, usuniemy tę trudność odrazu, a tarcza pomocnicza wydawać się nam będzie przeźroczystą. Jeżeli teraz zaryzykuję wystrzał, to kula przebiwszy tarczę bliższą uderzy w tarczę właściwą tak jak w podobnem wycelowaniu uderzyć powinna.

Pozwolę sobie tu jeszcze dodać kilka uwag, będących wyrazem mego osobistego zapatrywania pochodzącego z własnej praktyki. Jak wspomniałem, strzelam od dawna z otwartemi oczami, a sposób ten podyktował mi przypadek. Czatując raz w gęstym krzaku, miałem na strzał dość niespodzianie pięknego rogacza. Zmierzyłem do niego i przekonałem się że gałąź liściasta zwieszająca się z drzewa na kilka kroków przedemną zupełnie mi go zasłania, i strzał jest niemożliwym. O najmniejszej zmianie położenia mowy być nie mogło, musiałbym był bowiem spłoszyć kozła.

Otworzywszy lewe oko przekonałem się że go widzę doskonale a muszka w wizierze leży mu na komorze. Pociągnąłem za cyngiel, a zwierz celnie trafiony padł w ogniu. Od tego czasu strzelam zawsze kulą z otwartemi oczami. Nadzwyczajnie łatwo do tego się przyzwyczaić i mojem zdaniem żadnych osobnych przyrządów zastosowywać nie potrzeba. Dość złożyć się jak zwykle do jakiegoś wyraźnego przedmiotu, zamknąwszy lewe oko, po chwili je otworzyć, a przekonamy się od razu, że ono nie tylko celowaniu nie przeszkadza ale przeciwnie bardzo mu pomaga.

Da się to szczególnie uczuć przy celowaniu do dalekich przedmiotów w zmroku lub dzień pochmurny. Celowanie z otwartemi oczami umożliwia także strzał przez dyoptrę do późneg owieczora.

Kowalski nabój.

opowiedział

STARY SONTAGSJÄGER.

Bohater z powieści Rogosza „Grabarze“ który siedząc kobyle między uszami, przepłynął Świcę, natura zacna i poczciwa, typ Polaka starej daty, (jakkolwiek sam młody), co to był do pitki i wybitki, do tańca i do różańca, siedział sobie w ciepłym pokoju dworu w L., gdzie mieszkał, przerzucając kartki rocznika „Łowca“ i wyczekując Jakima, który przed kilkoma godzinami pojechał konno po pocztę do miasteczka Ż. Ogień na kominku buchał wesoło, czasem przygasał i wtedy występowały śliczne niebieskofioletowe płomyki, to znów zajaśniał mocniej, siejąc w koło iskry złote; od czasu do czasu zaćwierkało coś w polanie — to chochlik zaklęty za jakąś psotę wyskakiwał z polana, wyzwolony przez dobroczynny ogień. Zmierzch niepostrzeżenie wkradał się przez okna zasłonięte cieniutkiemi jak pajęczyna, firankami; kładł się na sprzętach, kształtem i sposobem wyrobu dawniejsze i lepsze pamiętających czasy; zaglądał w kąty, jakby szukał pamiątek z zamierszchłych wieków i jakby chcąc je ukryć przed ciekawym wzrokiem profana, przykrywał je czem raz gęstszą zasłoną, aż wreszcie przybrały kształty dziwne, to ludzkie, to zwierzęce formy naśladujące. Domieszały się do nich ruchome cienie płonącego na kominku ognia, pełzające po ścianach, odbijające się w lustrach i złoconych ramach obrazów i ślizgające się po rozwieszonej na ścianie broni siecznej i palnej. Pokój przybrał postać jakiejś czarodziejskiej komnaty, zaludnionej potworami, rycerzami i duchami. Wpatrywał się w nie nasz bohater; przypomniał mu się dwór ojca, w którym ujrzał światło dzienne i wzrastał pod troskliwem okiem matki a z którego los zawistny wyrzucił go niemiłosiernie w szeroki i nieznany świat fałszu i zawiści, podłości i blagi.

W dworze ojcowskim taki sam był kominek, wieczorami zasiadała przed nim cała rodzina; dzieci chwytały chciwie opowiadania starszych o znaczniejszych wypadkach z dziejów ojczystych, o wielkich królach i bohaterach. Tak samo odbłyski ognia rysowały dziwaczne kształty na ścianach i kobiercach, w których widział wtedy postaci owych bohaterów. Tulił się do kolan matki, drżąc ze strachu, a jednak już wtedy zapragnął stać się podobnym jednej z tych niebotycznych postaci, co to mienie i krew ochoczo ojczyźnie w darze składały. Przyszedł mu na myśl jego stryj, bohater, poległy w walce za wolność w r. 1863, przypomniał sobie śliczny jego wiersz: „Ze wspomnień dziecinnych“:

Zrodzon na grobach, wśród kajdan brzęku,
Śród szmeru wiejskich pacierzy,
Na mej piastunki pieściwem ręku
Słuchałem życia rycerzy:
A opowiadał mi ojciec stary,
Matka mówiła najwcześniej,
Gdy płaczącego uczyła wiary,
A siostra śpiewała pieśni.

Mówili dziecku prostemi słowy,
Lub śpiewem rzewnej tęsknoty,
A nie wiedzieli, że mu do głowy
Już płynie marzeń rój złoty;
Że kiedy uśnie, śnią mu się męże
Skrzydlaci, niby anieli,
W zbrojach i hełmach, w dłoniach oręże,
Odziani w skrawionej bieli.

I nie wiedzieli, kiedy zbudzone
Dziecko zapłacze, bywało,
Że mu się śniły, bronie wzniesione,
Że padających widziało.
Utula z płaczu matka stroskana,
Cacka podaje do ręki;
Darmo! aż dziecku siostra kochana
Zanuci tęskne piosenki.

I uśnie dziecię, uśnie jak ptaszę,
Gdy słowik wieczór zanuci,
Aż mu się przyśnią orły, pałasze —
Znów na łóżeczku się cuci.
Nad łóżkiem ojca kord wisiał krzywy,
Ku niemu zwraca oczęta,
Na licu uśmiech igra mu żywy
I klaszcze w drobne rączęta.

Wywiedli konia z ojca stajenki,
A ojciec wsiadać mu każe:
„Weźno bułanka, chłopcze, do ręki
Jak się masz trzymać pokażę“.

A matka z okna: „O! ja się boję!
On spadnie, on taki mały".
„Trzymaj się chłopcze! konia we dwoje!
Ha! Ha! patrz! jaki zuchwały!"

Potem mi ręką pogładzi lico,
A mnie tak w duszy gorąco
Żebym chciał lecieć gdzieś błyskawicą,
W dal jakąś dziką, świecącą.
Toż na najwyższą wdrapię się sosnę,
W dali utonę oczyma:
Marzę i płaczę — w marzeniach rosnę
Gdzieś w lecącego olbrzyma.
Przedemną jasny piorun się pali,
Szablicę trzymam we dłoni,
A za mną tłumem wojsko się wali
I lecim po mogił błoni...

. . . .

O, sny me złote! O, siostry pieśni!
Jakże mi tęskno za wami,
Czemuż tak często dziś mi się nie śni,
Że lecę między orłami?
Na mojej ziemi mnożą się groby,
Wróg coraz silniej uciska,
I wieją ciche pieśni żałoby,
A szabla dotąd nie błyska...

Śnił dalej. I z tego dworku, w którym teraz mieszka, wyruszała drużyna rycerska na krwawe boje... Widzi oczyma duszy pana domu harcującego na niespokojnym rumaku, a obok niego wiernych towarzyszy, uszykowanych w ordynku do pochodu i wyczekujących na hasło dowódcy. Czemuż zwleka i raz wraz spogląda żałosnym wzrokiem ku gankowi? Tam... na tym ganku stoi młoda żona; dziecię, które trzyma na ręku, trzepoce rączętami i rwie się do ojca a ona — skamieniała z bolu, jak druga Niobe, żegna ukochanego znakiem Krzyża Świętego!... I ruszyli. Zadudnił podwórzec pod kopytami dzielnych rumaków, zamigotały chorągiewki u proporców, już są za bramą, znikli w tumanach kurzu, który wysoko wzbił się nad ich głowami. Czy wrócą i kiedy?...

U! jak tam na dworze wicher przeraźliwie wyje w topolach! Mróz przytem siarczysty. Szczęśliwy, kto nie potrzebuje na takie powietrze wychylać nosa za próg ogrzanego pokoju.

Tentent kopyt końskich dał się w tej chwili słyszeć pod oknem. To Jakim wraca z pocztą. Rzeczywiście po chwili wchodzi wyrostek i podaje torbę pocztową, skórzaną, dużą, w której by się zmieściły wszystkie przez czas trwania wojny japońsko-rosyjskiej przez neutralne mocarstwa wysłane depesze.

Bohater opowiadania otwiera torbę kluczykiem wyjętym z kieszonki kamizelki i zaczyna przeglądać adresy na kopertach; przeczytawszy, odkłada większą część listów na bok. Są to cenniki rozmaitych firm zagranicznych, jakimi nas Niemcy tak obficie zasypują, pisma urzędowe, o których treści radzibyśmy się jak najpóźniej dowiedzieć i przypomnienia rozmaitych banków i towarzystw o zbliżającym się terminie płacenia raty. Z pomiędzy reszty listów wziął jeden, uśmiechnął się na jego widok i otworzywszy przeczytał treść bardzo krótką, poczem rzucił list z niechęcią na stół. Począł chodzić po pokoju monologując: „Jechać, na takie powietrze, niech dyabli wezmą wszystkie interesa". Zadzwonił i kazał przywołać Jakima. Zjawił się chłopak zgrabny, o mądrym wyrazie twarzy i otrzymał polecenie przygotowania na 7-mą godzinę rano koni, gdyż trzeba jechać do stacyi kolejowej B., oddalonej o 16 km., do której chcąc się dostać, potrzeba było przejechać dwie rzeki, Świcę i Dniestr.

Nazajutrz Jakim sprawił się wedle rozkazu, niechno by się był nie sprawił! i o godzinie pół do 9-tej bohater nasz stanął u promu na Dniestrze w H. Tu spostrzegł niezwykły ruch między kilkunastu chłopami, nad rzeką stojącymi i żywo rozprawiającymi. Skinął na najbliżej stojącego i dowiedział się, że przed godziną 4 dziki przeszedłszy młynówkę, wsunęły się w wiklinę, porastającą przestrzeń między Dniestrem a młynówką, o jakie 100 kroków od promu oddaloną, i dotąd z niej nie wyszły. Zaklął nasz bohater, że nie wziął strzelby, którą zresztą zawsze ze sobą woził, dowiedziawszy się jednak od chłopów, że niedaleko mieszka kowal, który ma strzelbę, pchnął po nią chłopa. Przyniesiono mu ją za parę minut nabitą, gotową do strzału. Był to prawdziwy garłacz, pojedynka, zardzewiała i warstwą odwiecznego kurzu okryta. Otrzepał bohater nasz kurz chustką do nosa, złożył się parę razy i kontent z posiadania broni a jeszcze więcej z przygody, o której będzie mógł we Lwowie opowiadać, ułożył w mig plan kampanii przeciwko ukrytym w wiklinie dzikom. Posłał chłopów od strony młyna, ażeby w danym razie nie puścili dzików przez młynówkę, brzeg Dniestru bowiem między młynem a wyspą porastała wiklina na znacznej szerokości, podczas gdy brzeg przeciwny był wcale nie porośnięty. Było więc zadaniem chłopów przeć dziki ku rzece i zmusić je do przepłynięcia jej. Plan udał się w zupełności, gdyż dziki przestraszone już poprzednio na pierwsze głosy chłopów rzuciły się ku rzece i poszły wpław. Nasz bohater, wymiarkowawszy, w którem miejscu dziki prądem niesione, prawdopodobnie wylądują, zajął pozycyę w zagłębieniu terenu przykucnąwszy i wyczekiwał, rychło zmęczone pływaniem zwierzęta pod lufę mu wlezą. Dziki co raz więcej przybliżały się do brzegu, nie przeczuwając nawet, jakiego przyjęcia doznają. Jeszcze 10 metrów, jeszcze pięć, już drapią się na stromy w tem miejscu brzeg, już przednie nogi i łby wysuwają się po nad brzeg, wyłażą z trudem, otrząsają się z zimnej wody i jak by nigdy nic, truchcikiem zbliżają się do punktu, w którym nasz bohater w gorączce oczekiwania siedział ukryty. „Błysk i huk" okropny wstrząsa powietrze; dziki, jak piorunem rażone, rozskakują się na wszystkie strony, a nasz bohater... znikł zupełnie z horyzontu, pokazawszy zdumionym widzom... nogi w górę wzniesione!... Kowalski nabój tak był silny, że go stojącego na nierównym brzegu zagłębienia, siłą ruchu wstecznego z nóg zwalił.

I tak bohater nasz i pociąg spóźnił i dzika nie zabił.

Pisałem w Kosowie, w grudniu 1904.

Korespondencye.

Sosnowice, dnia 10. lipca 1905.

W naszej sprawie.

Łowiectwo — jedna z najprzyjemniejszych rozrywek dla wszystkich tych, którzy odczuwają piękność przyrody, którym serce żywszem tętnem uderzy i dusza się raduje na widok naszych wspaniałych polskich pól i lasów — łąk i wód — niestety w ostatnich czasach znacznie mniej adeptów znajduje — co jest niewymownie smutnym objawem. Czyż nie milszy

zagon złocistej pszenicy, lub łan koniczyny i zieleń zagajników od denerwującej gry w karty i zieleni... sukna na stoliku karcianym, lub karkołomnych sztuk na lodzie, nakoniec od banalnego flirtu i tym podobnych mało budujących zabaw naszej doby obecnej. Łowiectwu hołdowały wszystkie stany począwszy od głów ukoronowanych, a kończąc na wieśniakach w siermiędze. Dziś jednak niestety liczba prawdziwych adeptów tej szlachetnej rozrywki znacznie się zmniejszyła, a i Ci którzy z ochotą oddają się polowaniu boją się czy też nie chcą, ewent. nie chce im się ująć za pióro, aby na łamach jedynego w Galicyi organu myśliwskiego „Łowca“ omówić różne kwestye dotyczące łowiectwa, a wszak „Łowiec“ zaręczam chętnie pomieściłby zarówno artykuł dobrze zredagowany jak i mniej mający wartości pod względem stylu i opracowania literackiego. Nie jesteśmy zawodowymi literatami — jeno łowcami — a wspólna wymiana myśli i od czasu do czasu artykuły fachowe dałyby możność szerokiemu kołu myśliwych zapoznania się z tem wszystkiem co ich żywo obchodzić może i powinno. A tu tymczasem w „Łowcu“ straszne pustki! Dość przejrzeć, którykolwiek z ostatnich numerów np. N. 13. — aby skonstatować strasznie suchotniczy żywot jaki od niejakiego czasu pismo to pędzi. Przejrzyjmy treść tego numeru: artykuł 1-y Akwarele myśliwskie — przedruk z Łowca z roku 1888 *) — artykuł II-i Słynne trofea myśliwskie — przedruk z Łowca Polskiego; artykuł III- „Z obcych światów“ — tłumaczenie; artykuł IV-y „Z dziedziny nowej broni“ — przez Dr. W. B. jeden jedyny artykuł fachowy! Później następują „Pytania i odpowiedzi“ i kronika „Psy w Japonii“ — przedruk z „Łowca Polskiego“. Tak więc w całym 13-ym numerze Łowca jeden jedyny (!) tylko znajdujemy artykuł fachowy nasz własny! Wstyd doprawdy, żeby na tylu myśliwych w samej Galicyi tak mało znalazło się takich, którym sprawy łowiectwa naszego leżą na sercu! A małoż to było przemówień — prośb — wszystko napróżno! — jesteśmy niepoprawni.

Jakkolwiek nielitościwy los przykuł niżej podpisanego do taczek pracy biurowej, jednak niemniej pierś jego tchnie uczuciem wolności — dąży ku tym ukochanym polom i kniejom, gdzie ongi borykali się praojcowie nasi z groźnym turem i niedźwiedziem. Gorąco pragnąłbym kochając szczerze łowiectwo, aby i cała Brać moja z pod znaku Ś-go Huberta, pragnąc jako i ja naszego wspólnego dobra, przezwyciężyła wstręt do pióra, aby zechciała uwierzyć, że przy dobrych chęciach dużo zdziałać można, a wziąwszy się do pisania zasilała nasz biedny „Łowiec“ w swoje własne artykuły fachowe! Niewymownie by mi przyjemnie było aby głos mój został przez ogół myśliwych wysłuchany i odniósł w przyszłości pożądany skutek, budząc wielu z chorobliwego apatycznego uśpienia! Niech każdy dorzuci od siebie choćby małą cegiełkę a postawimy wkrótce wspaniały gmach ku wzbogaceniu naszej ojczystej literatury łowieckiej! Nie bądźmy egoistami — nie zasklepiajmy się — nie zapominajmy, że przy dobrych chęciach dużo zrobić można i trzeba, a dobro łowiectwa jest naszym obowiązkiem. Weźmy którekolwiek z niemieckich, lub francuskich pism łowieckich, ile tam znajdujemy obfitego materyału poczynając od bardzo udatnych pod względem literackiego opracowania, a kończąc na bardzo dyletanckich artykulikach. Każdy jak może i umie stara się tam służyć dobrej sprawie. Czemuż więc my mamy być gorsi od naszych sąsiadów, — czemuż my mamy się wstydzić pisać jak umiemy? piszmy więc — piszmy jaknajwięcej — nie wstydźmy się, bo to dalibóg jeno fałszywy wstyd.

Na zakończenie wyrażam błogą nadzieję, iż wszyscy koledzy moi zaczną nareszcie pisywać do „Łowca“ jak kto umie, powtarzam, niechcąc pozostać w tyle za naszymi zakordonowymi sąsiadami, których, pomijając wrodzoną rasową nienawiść, trudno odsądzać od prawdziwego zamiłowania służenia dobrej sprawie i iście braterskiej solidarności — czem nas pokonywają i wstydzą bardzo! Poprawmyż się — bo czas!

Stefan Ostrowski.

*) Szanowny autor się myli; „Akwarele myśliwskie“ nie są wcale przedrukiem i nigdy, nigdzie, a tem bardziej w „Łowcu“ 1888 drukowanemi nie były. (*Przyp. Red.*)

KRONIKA.

Dnia 15. lipca b. r., święcił znany dobrze ogółowi naszych myśliwych, rusznikarz, p. Kazimierz Tabaczkowski 25-letni jubileusz swej zawodowej działalności.

Sądząc, że będziemy w ten sposób tłumaczem uczuć wielkiej liczby naszych członków, zasyłamy szanownemu jubilatowi serdeczne „Szczęść Boże!“

Wojskowość na straży ustawy łowieckiej. W Kalifornii obowiązuje surowa ustawa o ochronie wszystkich ptaków pięknie upierzonych, których zabijanie służy ku zaopatrywaniu handlarzy piór w barwny ten towar. Ustawa ta jednak acz surowa, znaną była tylko na papierze, z powodu braku organów do jej przestrzegania powołanych. Teraz świeżo rząd oddał nadzór nad przestrzeganiem tej ustawy, poszczególnym komendantom załóg wojskowych rozrzuconych po kraju. Ci mają czuwać też nad wykonywaniem ogólnych przepisów łowieckich w swoich rejonach a nadto otrzymali kompetencyę działających przeciw tym przepisom sądzić i karać.

Orzeł przedni w walce z borsukiem. Ze Szląska z okolic Lignicy donoszą: Podczas robót w polu zauważyli robotnicy orła, który dłuższy czas w powietrzu majestatycznie krążył. Nagle król przestworza spuścił się jak strzała i znikł za pagórkiem w pobliskich krzakach.

Rządca tamtejszy zaciekawiony pośpieszył w to miejsce, nim jednak tam dobiegł, ptak odleciał, a na miejscu z którego się zerwał, leżał dogorywający borsuk. Ciało jego straszliwie pokaleczonem było, mózg się wylewał z rozbitej czaszki, a z rozdartego boku wydobywały się wnętrzności.

Od Administracyi.

Przy premiowem strzelaniu zapomniano binokle i laskę; rzeczy te są do odebrania w biurze Gal. Towarzystwa Łowieckiego ul. Mickiewicza 5.

Upraszamy uprzejmie członków naszych by zechcieli w jaknajkrótszym czasie uiścić zaległe wkładki.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

W biurze administracyi „Łowca“ można nabywać: roczniki „Łowca“ od r. 1898 po cenie 5 kor. za rocznik. Ustawę łowiecką po 40 gr. za egzemplarz.

Kto z P. T. Członków nie posiada statutu Towarzystwa, zechce odnieść się w tej sprawie kartką korespondencyjną do naszego Biura, a przy najbliższej wysyłce „Łowca“ statut otrzyma.

Regestra gospodarcze układu K. Madeyskiego (wydanie 5-te) W. i K. Cybulskiego, oraz wszelkie w zakres gospodarstwa wiejskiego wchodzące druki, poleca **SEYFARTH & DYDYŃSKI** we Lwowie, przy placu MARYACKIM.

Ogłoszenie.

Fundacya St. hr. Skarbka wydzierżawia prawo polowania na gruntach dworskich i w lasach rewirów nizinnych na lat sześć.

Bliższe warunki przeglądnąć można w Biurze Administracyi Centralnej Fundacyi St. hr. Skarbka. Dom własny I p. drzwi Nr. 12, gdzie wnosić należy oferty pisemne w terminie po koniec sierpnia 1905.

Kurator

Fryderyk hr. Skarbek.

Jubiler

JAN JARZYNA

poleca **wyroby złote i srebrne.**

WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.

Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki l. 4.

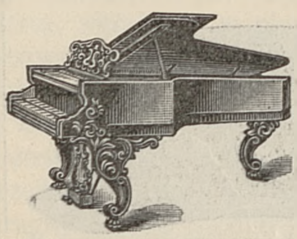
Słoiki na konfitury, kompot, miód, galaretki ze **szkła białego**, ładne fasony po 4, 5, 6, 7, 8, 9 ct. i t. d.

poleca

ARTUR BARTOSZ

Główny magazyn porcelany, szkła, srebra chińskiego itd.

Lwów, plac Maryacki l. 7. róg Kopernika.



Skład i Wypożyczalnia

Fortepianów i Pianin

B. Połonieckiego, Lwów

(obok Księgarni Polskiej przy ulicy Akademickiej 2).

Sprzedaż na dogodnych warunkach.

Łóżka uniwersalne z materacem na sprężynach **z rośliny morskiej** (a nie z hyblówek, jak gdzie indziej) **po zł. 15. 16. 18·50, 20,** polecam również **łóżka dla służby** po zł. 7, 7·50 i 8·50 itp.

ARTUR BARTOSZ

komisowy skład przeróżnych mebli żelaznych i t. p.

Lwów, pl. Maryacki l. 7. róg Kopernika.

Lawn-tennisy

angielskie

W OLBRZYMIM WYBORZE

poleca magazyn firmy

Kauczyński i Oberski

LWÓW

ul. Karola Ludwika 7 — ul. Halicka 6.

HOTEL EUROPEJSKI

we Lwowie

zupełnie odnowiony i na nowo urządzony polecam łaskawym względom podróżującej P. T. Publiczności, zapewniając, że usilnem mojem staraniem zawsze jest wszelkim wymogom zadość uczynić.

Z wysokiem poważaniem

ALBERT SZKOWRON

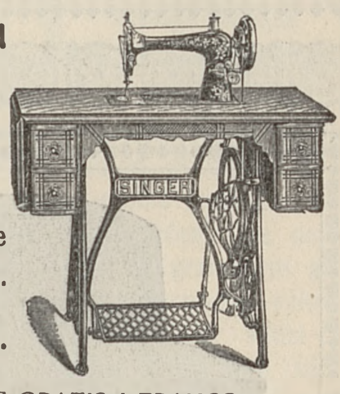
właściciel hotelu.

Pokoje od złr 1 począwszy.

Maszyny do szycia i haftu

SINGERA

najpoprawniejszej konstrukcyi, najdokładniej uregulowane.



Na raty po 8 kor. miesięcznie lub za gotówkę 10 % taniej.

Nauka szycia i haftu bezpłatna.

CENNIKI NA KAŻDE ŻĄDANIE GRATIS I FRANCO.

Proszę o łaskawe zlecenia

z poważaniem

Władysław Kukawski

przedtem JAN LAURUK

SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

Lwów, Pasaż Mikolascha.

Singera Maszyny do szycia i haftu.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**